

# FARMA DUCHÓW

Trupy i ich kawałki leżały wszędzie, ale największa ich część wisała, przewieszona przez pale wyrastające wzdłuż wychodzonej dróżki na końcu której znajdował się blaszany barak. Obrzydliwe szczątki wyraźnie kontrastowały z zielono-żółtawymi krzakami, rosnącymi po obu stronach. Krzaki te, Bez wątplenia były zasadzonymi przez ludzi - lub powojenne coś w ich rodzaju - roślinami jakiejś nowej, ponuklearnej odmiany kukurydzy i na dodatek rosły w grządkach. Obok baraku, w niewielkiej zagrodzie, powolnie poruszały się brahminy. Panującą tu idealną ciszę mącił jedynie machający krzakami wiatr a smród jaki unosił się w powietrzu był prawie nie do zniesienia.

Cassidy dopiero teraz zauważył w trupach coś dziwnego. Odkopnął leżące przy jego nodze grabie i zbliżył się do jednego z nabitych na pal ciał. Wyraźnie się przyjrzał.

- Coś tu jest nie tak. - rzekł z wyraźnym zainteresowaniem. - Jakież dziwne te trupy. Słyszysz Korn?

Tribal wynurzył się zza jego pleców. Podniósł leżące na ziemi grabie i z całej siły przyłożył w zmasakrowaną głowę wiszącego na palu ciała. Głowa spadła bez problemu i poturlała się na piasku.

- Oczywiście. - rzekł Korn wskazując końcem grabi w kierunku leżącej na piasku dziwnej głowy - Przecież to głowa brahmina.

- Cholera! - rzucił Cassidy - Rzeczywiście.

Były barman spojrział na resztę ciała.

- Widziałem już centaury - podjął po chwili - widziałem mantisy, widziałem nawet ghule, ale w życiu nie widziałem człowieka- brahmina. To cholerne promieniowanie robi naprawdę niezłe numery.

Korn zaczął wyraźnie przyglądać się wiszącemu na palu ciału. - To kukła! - zauważył.

- Jesteś pewny?

- Ktoś powpychał resztki jakiegoś martwego brahmina w ludzkie ubranie.

Cassidy jeszcze bardziej przyglądnął się ciału ale widać było że jego nos przeżywa piekielne katusze. Kukłę rzeczywiście stanowiły kawałki brahmina. Przeróżne wnętrzości tworzyły niezgrabny tułów okryty podartą, brudną, kraciastą koszulą z której rękawów wyrastały nogi brahmina udające ręce. Natomiast nóg, ciało nie miało wcale, bo jak widać, z podartych, wiszących na tułowiu spodni powypadały kawałki ciała martwego zwierzęcia, które miały owe nogi improwizować.

Barman nie mógł już wytrzymać okropnego zapachu gnijącego ciała więc z radością się cofnął. Odebrawszy Kornowi grabie zaczął nimi stukać w wiszącego trupa w wyniku czego prowizoryczne ręce wypadły z rekawów i upadły na ziemię przy okazji uwalniając kolejne niewidoczne chmury smrodu. Teraz obaj nie mieli już wątpliwości.

- No dobra. - przyznał Cassidy - Ale po co ktoś miałby bawić się ze śmierdzącymi kawałkami, jeszcze bardziej śmierdzącego brahmina i na dodatek ładowac w śmierdzące łachy jakiegoś kurdupla? - skinieniem głowy wskazał na ciało.

- Myślę że te kukły służą odstraszeniu nieproszonych... - urwał słysząc jakieś dziwne ciche głosy rozchodzące się w okolicy.

- O mutancie mowa a mutant tu! - uśmiechnął się Cassidy dobywając swojego dwulufowego Shotguna. Korn także wyciągnął broń - bielutki pistolet laserowy.

- Może to dochodzi z baraku?

- Lepiej sprawdźmy. - Barman demonstracyjnie przeładował Shotguna.

Szybkim krokiem ruszyli w kierunku końca drużki, gdzie znajdował się blaszany barak. Im bliżej byli, tym głosy stawały się głośniejsze, ale wciąż nie byli pewni skąd dochodzą bo wiatr rozwiewał je po okolicy. Musieli uważać by nie pośliznąć się na martwych, śmierdzących szczątkach. Rozglądali się ale nie widzieli niczego poza wysokimi krzakami powojennej kukurydzy i imitacjami trupów wiszących na palach.

Ich szybki chód przerodził się w bieg, jakby popędzany dziwnym strachem. Strachem przed czymś czego nie widzą. Cassidy, jakby się można było domyśleć, zapytany o to czy wierzy w duchy, z pewnością odpowiedziałby że nie, bo duchy to bajki dla dzieci a on jest dorosłym barmanem z Vault City. Ale Korn, kto wie.

Wywodził się z Arroyo, wioski dzikusów, położonej prawie nad oceanem. Wierzenia prymitywnych plemion przykładają przecierz szczególną rolę do zmarłych i duchów. Jakakolwiek odpowiedź Korna, nie zmieniłaby jednak faktu że on i jego kompan, znaleźli się już tuż pod barakiem.

Cassidy silnym kopniakiem rozwalił drzwi i obaj wpadli do środka. Zdziwili się bo barak był prawie pusty, ale głosy ucichły momentalnie. Przy ścianie która znajdowała się na lewo od wejścia, stały trzy szare skrzynki zamykane od góry. Przez środek pomieszczenia, na podłodze, położone zostały kawałki dywanów.

- Cholera! - rzekł Cassidy. - Tu jest coś nie tak!

- Zauważyłeś - zapytał Korn. - że głosy ucichły kiedy tu weszliśmy?

- No. Ciekawe co jest w tych skrzynkach.

- Uważaj, to może być pułapka! - zauważył Korn.

Słyszac to, Cassidy błyskawicznie wypalił dwururki, prosto w jedną ze skrzynek, a garście śrutu jakie siały jego naboje, podziurawiły skrzynkę na sito.

- Ta chyba nie jest pułapką. - powiedział z lekkim uśmiechem.

- Dobra! - tribal powstrzymał go przed kolejnymi strzałami. - Sprawdźmy je.

Obaj ruszyli w kierunku skrzynek ale gdy tylko postawili kroki na strzępach dywanów, natychmiast poczuli jak tracą grunt pod nogami a chwile później upadek i znaleźli się w zaciemnionym podziemnym pomieszczeniu. Usłyszeli jak broń, która wyleciała im w momencie upadku, poturlała się z trzaskiem.

Był to rodzaj jaskini, ale raczej wykopanej przez ludzi. Była tu jakaś ściana a w niej drewniane drzwi. Zrobiło się jakby jaśniej i ich uwagę przykuły lufy dwóch shotgunów skierowane w ich stronę. Dopiero później zauważyli że broń trzyma mężczyzna i kobieta.

- Nie ruszać się - zakomenderował mężczyzna - a nikt nie zginie!

Korn spojrzał na Cassidiego który nerwowo spoglądał raz na mężczyznę a raz na leżącego dalej shotguna. Plemieniec pokręcił zakazująco głową.

- Pójdziecie z nami! - znów rozkazał mężczyzna.

Podziemna komnata do której ich przyprowadzono przypominała jakąś stołówkę lub bar. W ścianie przeciwległej do wejścia, znajdowały się kolejne drzwi. Zastaniała je wysoka postać w czarnej, skórzanej kurtce i blond włosach. Dwoje strażników stało po obu jego stronach. Mężczyzna przez chwilę słuchał relacji strażnika, bezustannie patrząc z życzliwym uśmiechem na Korn i Cassidiego. Po chwili nieznajomy mężczyzna przerwał opowieść strażnika machnięciem ręki.

- Jestem Vegeir, przywódca Slags. - rzekł nieznajomy w skórzanej kurtce. - Witajcie w naszej siedzibie!

Korn kiwnął głową na przywitanie. Następnie spojrzał na Cassidiego, mierzącego Vegeira nieufnym spojrzeniem. Przywódca Slagsów nie zareagował.

- Nie zdarza nam się mieć gości. - zapytał. - A nieproszeni nie są mile widziani.

- Widziałem - odpowiedział Korn, mając na myśli ubrania wypchane szczątkami brahminów.

- Trupy które z pewnością widzieliście na zewnątrz, nie były naszymi ofiarami. - uśmiechnął się Veger. - Dopóki tu nie trafiliście, nikt nie wiedział o naszym istnieniu a kukły świetnie spełniały swoje zadanie odstraszenia nieproszonych gości. Niestety teraz kiedy tu trafiliście, nasze bezpieczeństwo jest zagrożone.

Na twarzy Vegeira pojawił się dziwnie nieprzyjemny uśmiech. Cassidy kątem oka spojrzął na broń strażnika stojącego tuż obok niego.

- I to bardzo zagrożone! - rzekł.

Nim ktokolwiek zdążył zauważyć, barman z półobrotu kopnął strażnika w zgięcie kolan a ręką trzasnął go w klatkę piersiową. Hunting Rifle trzymany przez strażnika, sam wypadł mu z ręki. Cassidy uchwycił upadającą broń i przeładowywując wycelował w Vegeira.

- Cassidy!!! Nie!!! - wrzasnął Korn.

Garść śrutu wypluta z shotguna drugiego strażnika, uderzyła w kompozytową zbroję barmana. Odrzut był tak wielki że Cassidy przeleciał przez drewnianą ścianę i znalazł się na zewnątrz pomieszczenia. Poczół silnego kopniaka w twarz a następnie w brzuch. Nie dzierżył już w rękę broni. Gapie zamieszkujący jasknię zbiegli się a wielu z nich wydobyło broń, wycelowując ją zarówno na Cassidyego jak i na Korna. Kilku strażników wciąż obijało leżącego barmana, który skulił się i powoli tracił przytomność.

- Czego od nas chcesz? - zapytał Korn.

- Przybyliście tu by nas pozabijać! - rzekł zdenerwowanym głosem Vegeir. - Jeśli chcesz żyć, mów prawdę tribalu.

Korn zdziwił się, widząc że nawet stalowa zbroja jaką nosił, nie ukrywa jego pochodzenia.

- Nie strasz mnie śmiercią Vegeir! - w oczach Korna pojawiła się złość. - Nie strasz! Bo jestem na nią przygotowany lepiej niż ty! Powiem po co tu przybyliśmy. Ale zostawcie w spokoju mojego kompana.

Przywódca Slagsów kiwnął ręką na strażników wciąż okopujących barmana. Cassidy ledwo się ruszał i wciąż leżał. - Przysłał nas Jo z Modoc. - Zaczął Korn. - Chciał wiedzieć co dzieje się na tej farmie. Chciał wiedzieć dlaczego słychać tu dziwne głosy i dlaczego na palach powbijane są trupy. Nikt nie wie o tym że pod farmą żyją ludzie i nie tylko... - Korn spojrzał na gapiącego na niego Ghula. - Mieszkańcą Modoc kończy się żywność. Ich jedyną nadzieją jest ta farma. Ale skąd mają wiedzieć że trupy to tylko kukły z brahminich szczątków a dziwne głosy nawiedzające to miejsce, to tylko wasze głosy doskonale słyszalne na zewnątrz.

Wszyscy Slags, wyraźnie osłupieli a na Korna spojźeli z wyraźnym podziwem. Vegeir uśmiechnął się.

- Jesteś inteligentny. - rzekł. - Myślę że śmierć twoja i twojego przyjaciela nie będzie nikomu potrzebna. Jak cię zwą?

- Na imię mi Korn.

- A twój kompan ma na imię Cassidy jak zdążyłem usłyszeć?

- Tak.

- Pytałeś czego od was chcę? Z początku chciałem wam zaproponować zostanie z nami lub śmierć. Gdy twój kompan zaatakował strażnika, to pomyślałem że jesteście grasantami lub raidersami. Ale okazało się że jesteście wyjątkowymi ludźmi, jakich się w tych czasach nie spotyka. Okazało się że chcecie pomóc innym. Dlaczego?

Korn przez chwilę milczał.

- Jo ma dla mnie informacje których poszukuję. - odrzekł.

- Być może i ja mam jakieś informacje których poszukujesz? - zapytał przyjaźnie przywódca Slags.

- Muszę znaleźć GECK, przedwojenne urządzenie znajdujące się w zestawie każdej z krypt.

Vegeir spojrział przez chwilę na Slagsów. Następnie zamyślił się przez dłuższą chwilę, powodując nastanie denerwującej ciszy.

- Przykro mi Korn. - odezwał się wreszcie. - Nie potrafię ci pomóc w tej sprawie. Wiem jednak jak możesz pomóc Modoc.

- Powiedz mi więc. - powiedział Korn.

- Widziałeś kukły udające trupy. Zauważyłeś też, że są zrobione ze szczątków zdechłych brahminów. Te brahminy były chore. Wiele z tych na górze jest chorych. A my jesteśmy chorzy razem z nimi. W Modoc kończy się żywność, a nam skończyły się już medykamenty. Potrzebujemy kogoś kto dostarczy wiadomość od nas do przywódcy w Modoc i przekaże mu że zgodzimy się wymienić żywność za lekarstwa.

- Takim przywódcą w Modoc, jest właśnie Jo. - rzekł tribal.

- Jesteś dobrym człowiekiem Korn. Zrobisz dla nas to czego potrzebujemy zarówno my jak i Modoc?

Tribal spojział przez chwilę na Cassidyego, któremu ktoś pomógł wstać. Barman miał strasznie poobijaną twarz i ledwo trzymał się na nogach.

- Zaniosę twoją wiadomość Vegeir. - zgodził się Korn.

Czerwone wdzianko Jo - przywódcy Modoc - nie kontrastowało z kolorem jego skóry. Jo był czarny, ale w tych czasach rasizm związany z kolorem skóry prawie nie istniał. Wyjątek stanowiły ghule i mutanty. Ale ani ghuli ani mutantów, w Modoc nie było.

- Jaką masz pewność że te ciała nie są prawdziwe? - Jo jak zwykle w takich rozmowach, przybrał nieufny ton głosu.

- Całkowitą! - odpowiedział Korn. - Ciała które widzieliście, to tylko kukły zrobione z ubrań wypchanych resztkami ciał brahminów.

- A te głosy?

- Już ci mówiłem Jo! To ich rozmowy. Kiedy rozmawiają to dźwięk wydostaje się na powierzchnię przez szyb którego ujście jest w jednym z pól.

- Jakoś nie ufam tym Slags, Korn. Wygląd twojego kumpla też wpływa na moje zaufanie.

- To nic wielkiego. - milczący od początku rozmowy Cassidy odezwał się chrapliwym głosem. Jego twarz była już w nienajgorszym stanie, ale pod oczami wciąż znajdowały się siniaki. - Trochę zaszałeliśmy i... zdarzył się wypadek.

- Ach tak? Nieważne. Skoro tak bardzo im ufacie, to powiem wam coś jeszcze, co właściwie powinienem był powiedzieć wam na początku.

- Mianowicie? - tribal spojrział na niego pytająco.

- Nasz przyjaciel i były mieszkaniec Modoc, Karl, przeprowadził się jakiś czas temu do Ghost Farm i tam zamieszkał. Któregoś dnia powrócił do nas krzycząc coś o głosach i duchach. Wszyscy go wyśmialiśmy więc po kilku dniach powiedział że wraca na farmę, i tak jak mówił tak zrobił. Wiele dni mijало, a on się nie odzywał. Wybraliśmy się więc tam i co zobaczyliśmy? Trupy zmasakrowanych ludzi ponabijanych na pal, a Karla ani śladu. Jak tylko usłyszeliśmy dziwne głosy, to od razu zwialiśmy.

- Jo!! Już ci tłumaczyłem...

- Wiem! Wiem! Wiem! Ale ty nie rozumiesz Korn. Jeżeli te trupy to kukły a głosy to jakieś tam gadki tych Slags, to gdzie jest teraz Karl?

- Tego nie wiem Jo.

- No właśnie. Dlatego moje zaufanie nie jest zbyt duże. Modoc umiera. Jeśli nie zdobędziemy źródła żywności, to czeka nas zagłada.

- Nie bardzo rozumiem co zamierzasz. - odpowiedział tribal obdarzając Jo dziwnym spojrzeniem.

- Zbiorę grupę uzbrojonych ludzi, i razem wybierzemy się do Ghost Farm by wypędzić Slags, z ich podziemi.

- Jak to? - zapytał Korn. - Z tej historyjki, którą opowiedziałeś, wynika że Slags, byli pierwsi na Ghost Farm, i to pierwsi przed Karlem. Dlaczego chcesz ich powybić?

- Masz rację. Ale gdzie w takim razie jest Karl. Posłuchaj, my potrzebujemy żywności. Albo oni, albo my. Taki jest porządek obecnego świata. Jeśli chcemy przeżyć, to musimy przestać przejmować się innymi.

- W takim razie ja także nie powinienem być się przejmować wami i nie wykonywać dla was tego rekonesansu.

- Robieś to w zamian za informacje o...

- A gdyby Karl się znalazł? - niespodziewanie wtrącił Cassidy.

Jo zastanowił się przez moment.

- Wtedy - podjął po chwili. - Być może dogadałbym się z Ghost Farm. Ale ty nic nie rozumiałeś. Karl nie żyje. Zamordowali go Slags i zamierzamy go pomścić.

- Jaką masz pewność jego śmierci? - zapytał Korn.

- Jestem tego pewny tak samo jak, ty tego że ciała na farmie duchów nie należały do ludzi.

- Daj nam czas, a znajdziemy Karla. - rzekł Cassidy.

- Co takiego? Chyba żartujecie. Modoc potrzebuje żywności. Nie mamy czasu na takie zabawy.

- Zastanów się Jo. - rzekł spokojnie tribal. - Być może powybijasz Slags, ale wielu twoich ludzi może zginąć w tej walce.

- Nie obchodzi mnie to! Zginą by żyć mogli inni. Już ci to tłumaczyłem. Ofiary się zdarzają.

- Nawet jeśli ofiarą mógłbyś być ty?

- Nawet wtedy.

- A jeśli ofiarą byłby Karl?

- Jak to? - Jo spojrział ze zdziwieniem na Korna.

- Zastanów się. - powtórzył tribal. - Jeśli Karl to jeden ze Slags?

- Co?

- No właśnie Jo. - wtrącił Cassidy. - Mówieś że kończy się wam żywność, a więc jeszcze jej trochę macie.

- Dobrze!!! - przywódca Modoc przybrał groźny wyraz twarzy. - Daję wam trzydzieści dni na odnalezienie Karla. Ale po upływie tych trzydziestu dni zaatakujemy Ghost Farm i wybijemy wszystkich Slags a wy nie będziecie już mile widziani w Modoc.

- W porządku Jo. Znajdziemy Karla i przyprowadzimy go tutaj w ciągu trzydziestu dni.

Zdziwili się gdy ponownie ujrzeni pola Ghost Farm. Wzdłuż wydeptanej dróżki nie znaleźli nawet śladu po palach, kukłach i szczątkach brahminów. Uporczywy smród prawie zniknął. Najbardziej zdziwił ich jednak Vegeir gdy tylko znów znaleźli się pod ziemią.

- Karl opuścił farmę już dość dawno temu. - rzekł przywódca Slags. - Mieszkał trochę czasu na powierzchni, ale widocznie wystraszyły go nasze działania. Po tym gdy opuścił Ghost Farm, powbijaliśmy te pale i zrobiliśmy kukły. Dlaczego go szukacie?

- Dostarczyliśmy twoją wiadomość do Jo, w Modoc. - odpowiedział Cassidy.

- Naprawdę? I jak brzmi odpowiedź? Czy Modoc zechce z nami handlować?

- Niezupełnie. - powiedział Korn. - Jo uważa że zamordowaliście Karla. Chce was wszystkich pozabijać.

- Co takiego?! - zapytał przywódca Slags. W podziemnym pomieszczeniu uczyniły się nagle rozmowy i szmery. - Dlaczego mielibyśmy go zabijać? Karl nie wiedział o nas. Nie stanowił dla nas zagrożenia.

- W porządku. Ja ci wierze, ale Jo nie bardzo.

- Więc chcą nas stąd wykurzyć?

- Jest pewna nadzieja. Jo dał nam trzydzieści dni na znalezienie Karla. Gdy te dni miną, Jo zbierze watahę zabijaków w Modoc, i przybędą tu by was zabić.

- A wy zgodziliście się znaleźć Karla. I dlatego tu przyszliście, tak?

- Tak. Nie wiesz gdzie Karl mógł się udać?

- Zastanówmy się. - Vegeir zamyślił się na chwilę. - Najbliższe miasta to Vault City i Den. To pierwsze to nienajlepsze miejsce dla kogokolwiek kto nie pochodzi z krypty.

- Wiem coś o tym. - wtrącił Cassidy.

- Za to Den - kontynuował Vegeir. - to siedziba zła. Ale jeśli nie śpi się na ulicy, to można tam jakoś żyć. W Vault City jest z tym trochę trudniej. Tak czy inaczej, w obu miejscach szerzy się niewolnictwo, pod tą czy inną nazwą.

- Cholera! - zaklął Korn. - Sam nie wiem. Myślę że Karl udałby się raczej do Den, bo mógłby pomyśleć że w ten sposób będzie dalej od "duchów".

- Zrobisz jak zechcesz. Ale i ja wybrałbym Den. Lepiej uważajcie tam na siebie. - Vegeir ucisnął dłoń Kornowi a po chwili Cassidy'iemu który widać, zapomniał już jakie lanie spuścili mu Slags.

- Dzięki Vegeir. Wrócę tu gdy już przyprowadzę Karla do Modoc. - rzekł na pożegnanie tribal.

- Zaczekaj jeszcze chwilę. - Vegeir odwrócił się i z niewielkiej szafki stojącej pod ścianą wy dobył obwinięty w szmatę czarny, nie zakurzony, Combat Shotgun. Broń wyglądała jak prosto z fabryki, choć z pewnością tak nie było. Przywódca Slags wręczył broń Kornowi. - Masz! Droga do Den nie jest bezpieczna.

- Nie wiem czy mogę to przyjąć Vegeir. Ta broń przyda ci się jeśli zawiodę i dojdzie do walki między wami a Modoc.

- Daję ci tę broń byś tej walce zapobiegł. Zwrócisz mi ją po powrocie.

- A ty! - przywódca Slags uśmiechnął się do Cassidyego. Wyciągnął z kieszeni dwa granaty ręczne i podał je barmanowi. - Zwrócisz mi zawlecзки.

- Możesz być pewien. - Cassidy roześmiał się życzliwym śmiechem.

Z Ghost Farm do Den, należało iść na zachód przez wszechobecne góry i skały. Kilkanaście mil na południowy-zachód od farmy, znajdowało się Modoc, więc leżało prawie na drodze do Den. Korn celowo wybrał podróż przez Modoc, by powiedzieć Jo, że Slags nie zabili Karla. Łatwo jednak domyślić się że reakcja przywódcy Modoc nie była zadowolająca.

Korn nie rozczarował się. Przewidywał taką reakcję czy raczej był pewien że taka będzie. Chciał jednak spróbować jeszcze raz przekonać Jo że Slags nie są winni śmierci Karla, o ile ten rzeczywiście nie żył.

Nie widząc nadziei na inne rozwiązanie całego problemu, bezzwłocznie wyruszyli w kierunku Den.

Tribal znał już okolicę ale droga i tak nie należała do najłatwiejszych, ze względu na palące słońce, mnogą ilość przeszkód górskich i przede wszystkim czyhające w ukryciu potwory lub - co gorsza - ludzi. Owszem, potwory stanowiły spore zagrożenie, ale w tych okolicach to ludzie stanowili jeszcze większe. To w pobliżach Den grasowali przeklinani przez wszystkich tribalów, handlarze niewolników z Gildi Niewolników Metzgera.

W nocy rzadko spali. Raczej starali się odpocząć z otwartymi oczami, ze względu na słyszane w nocy dziwne odgłosy. Nie były w tych regionach niczym nadzwyczajnym. Słysząc je było w całej Kalifornii, jeśli nie na całym świecie. Każdej nocy mieszkańcy przeróżnych powojennych miast, zamykali okna i ryglowali drzwi w obawie przed tajemniczymi stworami wydającymi piekielne krzyki, jęki i ryki. Noc spędzali rozmawiając.

- Korn? - rzekł pytająco barman.

- Słucham. - odezwał się głos tribala, wpatzonego w gwiazdy.

- Czego tak naprawdę szukasz? A raczej, szukamy.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć?

- Naprawdę.

- Moje plemię mieszka w małej wiosce, Arroyo. Prawie nad wybrzeżem. A ja zostałem wybrany, by znaleźć dla nich pewien bardzo cenny przedmiot.

- Ten GECK?

- Tak. - zdziwił się Korn. - Skąd to wiedziałeś?

- Przecież mówiłeś to Vegeirowi.

- Rzeczywiście. Ale myślałem że tego nie usłyszałeś. Strasznie cię tam pobili.

- To nic wielkiego. - przyznał twardo Cassidy. - W Vault City, do mojego baru wpadło kilku gości pod dowództwem tego drania, sierżanta Starka z Corrections Center. Zdemolowali mój bar i sobie poszli. Slags mieli przynajmniej powód. Dlatego się tym nie przejąłem. Ale opowiedz mi więcej o tym urządzeniu.

- Widzisz... Mój przodek pochodził z jednej z krypt, z krypty 13. Około osiemdziesięciu lat temu, uratował swoją kryptę i niezły kawał świata.

- A co takiego zrobił? - spytał wyraźnie zainteresowany Cassidy.

- No cóż. W krypcie 13 uszkodzony zostało urządzenie o nazwie Water Chip. Urządzenie to było odpowiedzialne za filtrowanie wody w krypcie. Nadzorca wybrał z pośród jej mieszkańców, jednego który zgodziłby się znaleźć nowy Water Chip. Tym kimś był mój przodek.

- I znalazł go?

- Oczywiście. Ale to nie wszystko. W czasie poszukiwań natrafił na niebezpieczne mutanty, pragnące zapanować nad światem i zmieniać ludzi w bezmyślne zielone monstra. Załatwił z nimi sprawę, zabijając ich przywódcę, Władcę.

- Zaczekaj... - Cassidy zastanowił się przez chwilę. - Chyba słyszałem tę historię. Ale myślałem że to legenda. Przez wiele lat nazywaną ją Legendą Krypty 13.

- To żadna legenda Cassidy. - zapewnił kompana Korn. - Starsza mojej wioski, wielokrotnie opowiadała mi o moim przodku i jego heroicznym czynach. To on jest założycielem naszego plemienia i naszej wioski.

Przez chwilę rozmowa umilkła. Cassidy zastanawiał się czy to o czym mówił Korn, nie było jedynie kolejnym wierzeniem naiwnego tribala. Ale z drugiej strony dziwiło barmana to, że Korn tyle wiedział o legendzie którą prawie zapomniano.

- Korn? - znów pytająco zawołał.

- Słucham.

- Dlaczego poszukujesz GECK?

- Ponieważ Arroyo umiera. Dzieci chorują, brahminy umierają. Gleba jest silnie skażona a rośliny są niebezpieczne. Potrzebujemy GECK by uzdrowić glebę i ponownie wprowadzić życie do naszego plemienia.

- Czy wiesz gdzie szukać tego urządzenia?

- GECK znajduje się w każdej z krypt. Pytałem McClure'a w Vault City, ale powiedział że swój GECK już zużyli. Dlatego poszukuję Krypty z której pochodził mój przodek. Poszukuję Krypty 13. Jest jednak jeden człowiek który może mi być pomocny w tych poszukiwaniach. Nazywa się Vic i jest handlarzem. Prawdopodobnie wie gdzie znajduje się Krypta 13.

- Cieszę się że już wiem po co za tobą poszedłem. Dobrze jest znów podróżować. Życie w Vault City, powodowało u mnie wrzody żołądka.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną podróżować Cassidy.

- Ale chcę. Podoba mi się życie na szlaku, a twoja misja, stanie się od tej pory moją misją Korn. Chcę żebyś wiedział, przyjacielu, że jestem dumny że podróżuję z tobą. Dzięki temu stanę się częścią wspaniałej historii, która rozpoczęła się w Kryptcie 13.

- Już jesteś jej częścią, przyjacielu.

- Jasna cholera! - zaklął Cassidy. - mija już dziesiąty dzień podróży i nic nie wskazuje na to że zbliżamy się do tego cholernego zadupia.

- Oznacza to że mamy jeszcze pięć dni żeby dotrzeć do Den. - rzekł uspokajająco Korn. - A potem kolejne piętnaście dni na powrót do Modoc.

- Weź jednak pod uwagę, że w drodze powrotnej towarzyszyć będzie nam wystraszony przez "duchy" farmer.

- Rzeczywiście. Nie pomyślałem o tym. A więc tracimy sporo czasu tymi postojami.

- Co masz na myśli? - zapytał zdziwiony barman.

- To, że jeśli w ciągu następnych dwóch dni na horyzoncie nie pojawi się Den lub cokolwiek co świadczyłoby że się do Den zbliżamy, to będziemy musieli iść także w nocy. ...!

- Dobra! - zgodził się, choć nie chętnie Cassidy. - Ty tu dowodzisz.

Gdy po dwóch dniach stanęli na wysokim wzgórzu, ich oczom ukazało się Den, daleko na horyzoncie. W środku gruzowiska jakie Den stanowiło, widniała wieża małego kościoła który się tam znajdował. Dokoła wznosiły się sterty gruzu i zamieszkałe pozostałości budynków. Dalej za gruzami, błyszcząły blachy złomowiska.

Nie oznaczało to jednak końca podróży. Mimo iż przebyli już kraniec pasma górskiego, nazywanego dawniej Sierra Nevada, to na ich drodze stało jeszcze przebycie sporego kawałka terenu, porośniętego odrastającym po wojnie lasem i zamieszkującymi go kreaturami, lub - co gorsza - grasującymi tam handlarzami niewolników.

Większość, jeśli nie całość, lasów zostało zniszczonych w czasie wojny. Ale od wojny minęło wiele lat, tak więc lasy od nowa się rozrastały. Częściej jednak spotykało się szarość uwiędłych pniów i żółć pustyni, niż zieleni i brąz wspaniałego lasu. Prawdziwie zielone drzewa spotykało się chyba tylko w Vault City i NCR. Tymczasem w chorych, powojennych lasach Kalifornii, spotykało się przeróżne potwory, od Radskorpionów do krwiożerczych roślin. Tu jednak, w pobliżu Den, to nie ich należało się obawiać. Większe zagrożenie stanowili tu slawerzy - łowcy i zarazem handlarze niewolników. Wiązało się to oczywiście, z bliskością ich posterunku, który znajdował się w Den i nazywany był wdzięcznie "Gildią Handlarzy Niewolników" lub "Gildią Slaverów".

Slawerzy, polowali w tych okolicach, doskonale wiedząc o zamieszkujących je dzikusach i ich plemionach, bo to najczęściej oni stawali się niewolnikami. Dlatego też, Korn nienawidził slaverów bardziej niż kogokolwiek.

W południe, czternastego dnia podróży, znaleźli pozostawiony przez kogoś szałas. Przypominał trochę namiot, ze względu na naciągnięte na gałęziach kawałki dziurawego płótna. Z pewnością było to schronienie jakiegoś tribala. Tak przynajmniej uznał Korn, a kto inny jeśli nie tribal mógł być tego pewien. Schronili się z radością, by choć trochę odpocząć po nocnym marszu i na dodatek zasłonić się przed palącym słońcem. Byli dość wyczerpani, choć w nocy zażyli stimpacki by zyskać trochę energii, tak potrzebnej do nocnego marszu. Mimo to, sami nie zauważyli jak szybko usnęli w ciszy i spokoju, jakie panowały dookoła.

Obudziły ich okrzyki złości i czyjś płacz. Cassidy ocknął się pierwszy. Podsunął się do ściany szałasu i spojrzął przez dziurę w płutnie, w kierunku z którego dochodziły dźwięki.

- Ruszać się śmierdzie!! - darł się mężczyzna z metalową pałką w rękę. - Bo łby poukręcą!! Wy prymitywne świry!!

Tuż obok mężczyzny szło pięcioro uwiązanych za ręce, obdartych dzieci a na ich szyjach wisiły naszyjniki z białej, zwierzęcej kości. Mężczyzna trzymający metalową pałkę, wymachiwał nią i szarpał za powróż. Wyglądało na to że slaver samotnie prowadzi piątkę dzieci.

Wtedy właśnie barman zauważył idącą za dziećmi, wysoką kobietę. Włosy miała przycięte krótko, do samych uszu, a jej ciemnozielona zbroja kompozytowa, przypominała tą którą miał na sobie Cassidy. W dłoniach kobiety spoczywał karabin snajperski.

- Korn! - Cassidy szturchnął tribala niedelikatnie. - obudź się! Korn!

- Co jest? - zapytał wyrwany ze snu.

- Spójrz tam. - barman przyciągnął Korna do dziury w płótnie. Tribal przetarł oczy i wyrzwał przez wydartą lukę w płótnie. Momentalnie połapał się co jest grane.

- Ten facet który tak wrzeszczy ma przy kostce jakiś pistolet. - zauważył Korn.

- Skąd wiesz? - Cassidy zdziwił się, gdyż przy obu kostkach mężczyzny, nie było widać żadnej broni.

- Kiedy stąpa, zarzuca prawą nogą. - wytłumaczył tribal. - Pewnie ma go schowanego pod nogawką.

- Dobra! - barman spojrział na własną broń trzymaną w rękach. - Ja zajmę się tą wysoką dziwką! A ty załatw tego faceta.

- Tylko uważaj na te dzieci.

- Załatwione.

Obaj wyskoczyli z szałasu jak dwie potężne błyskawice. Rażona grubym śrutem kobieta, runęła na ziemię jak trzaśnięta taranem. Zbroja obroniła ją przed zranieniem ale nie przed powalającym uderzeniem śrutu w poszycie pancerza. Bezwładnie uderzyła się w głowę własną bronią. Nie ruszała się więcej.

W tym samym czasie, Korn wykonał udany unik przed lecącą w jego kierunku metalową pałką, którą rzucił w niego slaver. Tribal wyprostował się i strzelił prosto w rękę mężczyzny sięgającą po pistolet w kaburze na kostce. Slaver jęknął i złapał się za krwawiącą kończynę. Korn znów przeładował i celowo strzelił w pierś przeciwnika, osłoniętą przez pancerz zbroi. Mężczyzna wywrócił się i padł na plecy. Spojrział na Korna.

- Ty sukinsynie!!! - wrzasnął. - Jesteś już trupem!!! Metzger cię zabije ty zasrany bohaterze!!! Zapłacisz za...uuhhh - zamilknął gdy tylko Korn oddał ostatni strzał.

Cassidy wyciągnął z ręki nóż. Chciał rozciąć sznury krępujące dłonie porwanych dzieci. Niestety wystraszeni dzikusci odsunęli się od niego z krzykiem.

Korn podszedł i uklęknął przy jednym z nich. Zza dziwnego żółto-niebieskiego kołnierza który cały czas wystawał mu z pod stalowego pancerza, wydobył niewielki naszyjnik ze zwierzęcymi kośćmi, podobny do tych które miały porwane dzieci.

- Nie trzeba się mnie bać. - powiedział spokojnym głosem, uśmiechając się. - Jestem taki jak wy.

Spokojnie dobył noża z cholewy buta i rozciął trzymany w ręku sznur. Potem kolejne, aż uwolnił wszystkie dzieci.

- Jesteście wolni. - rzekł, po czym schował nóż.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy obaj przyjaciele dotarli do wschodniej części Den. Korn poznał niewielki kościół, i znajdujący się obok cmentarz na którym o dziwo nie przybyło grobów od jego poprzedniego pobytu w tym miejscu. Mnóstwo menelów znów szlajało się po okolicy.

- Lepiej się tu pilnujmy. - ostrzegł barman. - Słyszałem różne opowieści o tym miejscu. Ale i tak nie zamieniłbym go na Vault City i życie "służącego". - Ja chyba też. - zaśmiał się Korn. - Tu przynajmniej nie ma Lynette. Jakże to jest bezczelne babsko!

Obaj wybuchnęli śmiechem. W Vault City, tego typu żarty nie były mile widziane, a na pewno nie były zdrowe dla samego siebie. Tutaj mogli się więc śmiać do woli. Zarozumiiała Lynette, nazywana Pierwszym Obywatel Vault City, była bardzo wybuchowa i arogancka. Oczywiście określenie Pierwszy Obywatel, nie znaczyło w Vault City nic innego jak główny Przywódco-tyran. Niestety, struktura społeczna miasta była bardzo krzywdząca dla zewnątrz. Ci którzy przez lata żyli w krypcie, stanowili po jej opuszczeniu, obywatele Vault City. Natomiast ci z poza krypty nie byli tam mile widziani chyba że robiono łapankę i porywano zewnętrznych, by zrobić z nich... służących. Tak jest. Taką piękną nazwę wymyśliła Lynette dla niewolnictwa a nazwanie służącego niewolnikiem w obecności władzy, było bardzo niemile widzianym pomysłem. Dlatego też trudno dziwić się, że zewnątrzni nie bardzo lubili to miasto.

Gdy już przestali się śmiać, Cassidy wskazał ręką, z wyraźnym podnieceniem, na złomowisko i stojący na nim porzeczony, szary samochód.

- Hej! - zawołał na Korna. - Widziałeś ten wózek?

- Widziałem jak tu byłem poprzednim razem. - odpowiedział obojętnie tribal. - I co z tego. Nie jest na chodzie. Zresztą kosztuje dwa tysiące.

- Aż tyle? A czyją jest własnością?

- Smitty nadzoruje to złomowisko, więc samochód należy do niego.

- Skoro wóz nie jest na chodzie, to czemu chce go sprzedać? - zapytał zdziwiony barman.

- Bo wystarczy że będziesz miał kontroler wtrysku oraz dość wiedzy by go zamontować, i pojazd będzie sprawny.

- A on nie ma takiego kontrolera?

- Niestety nie.

Cassidy wciąż przyglądał się pojazdowi i zastanawiał się jakby to było fajnie nim pojeździć. Spojrzał na Korna wpatzonego w jakiegoś barczystego dzikusa z młotem w ręku, wchodzącego do kasyna Becky.

- Sulik? - zdziwił się Korn.

- Co? - zapytał Cassidy - kto?

- Chodźmy do tego kasyna.

Kasyno mieściło się w zrujnowanym budynku. Tak samo zrujnowanym jak całe Den. Postawionych tutaj kilku zabrudzonych stołów do ruletki, pilnowało kilkunastu strażników. W kącie pomieszczenia znajdował się mały barek za którym stała młoda kobieta. Dzikus, nazwany przez Korna Sulikiem, stał przy barku. Korn i Cassidy podeszli do niego.

- Widzimy cię, stary przyjacielu. - rzekł spokojnym głosem dzikus nawet nie spoglądając na zbliżającą się dwójkę.

- Dobrze cię widzieć Sulik! - przywitał się tribal.

- Ciebie też. - dzikus dopiero teraz odwrócił głowę i spojrzał na Korna i jego towarzysza. Cassidy osłupiał gdy zobaczył nos Sulika, przebity żółtą, podłużną kością. - Widzę że przyprowadziłeś nowego przyjaciela.

- Nazywam się Cassidy. - przywitał się życzliwie barman.

- Moje imię Sulik. - dzikus odpowiedział równie życzliwie. - Miło nam cię poznać.

- Nam? - zdziwił się barman.

- Sulik ma zdolności kontaktowania się z duchami. - wytłumaczył Korn. - One są zawsze z nim.

- Aha. - Cassidy udawał że w to wierzy. - to...chyba dobrze.

- Co tutaj robisz? - Korn zwrócił się do Sulika. - Prosiłem cię byś został przez pewien czas w Klamath.

- Sulik słuca twoich rozkazów. - dzikus lekko ukłonił się Kornowi. - Ale duchy powiedziały mu że tutaj znajdzie zdrajcę Vic'a.

- Naprawdę? Powiedziały ci gdzie dokładnie.

Sulik znieruchomiał na chwilę. Zapatrzył się gdzieś przed siebie. Trwało to chwilę.

- Duchy nie chcą mówić. - rzekł w końcu.

- O czym właściwie mówicie? - wtrącił się Cassidy.

- Ten Vic, o którym była mowa - zaczął tribal. - To handlarz przedwojennymi sprzętem. Zna się na różnych urządzeniach i potrafi je naprawiać. Może wiedzieć gdzie znajduje się Krypta 13. Niestety nie wiemy gdzie dokładnie go szukać.

- Rzeczywiście - do rozmowy przyłączyła się niespodziewanie Becky, właścicielka kasyna i jednocześnie tutejsza barmanka. - Handlarz o imieniu Vic jest w Den. Trzymają go chłopaki Metzgera. Jest teraz ich więźniem.

- Skąd to wiesz? - zapytał zdziwiony wiadomością Korn.

- Widziałam jak go prowadzili.

- Nie mamy więc czasu do stracenia. - rzekł Korn.

- Zaczekaj! - zatrzymał go Cassidy. - Przecież przybyliśmy tu po Karla. Najpierw go znajdziemy.

- Vic może wiedzieć gdzie znajduje się to czego ja poszukuję. To sprawa większa niż problemy Modoc i Slags. Ale ratować jednych ludzi kosztem drugich nie jest zgodne z moim honorem i postanowieniami. Masz rację Cassidy. Znajdźmy Karla. A potem zajmiemy się ratowaniem Vic'a.

Choć Den stanowiło tylko kilka resztek budynków, a zamieszkujący je ludzie nie byli zbyt liczni to na szukaniu wśród nich Karla zleciał im kolejny dzień. Menele pytani o farmera zwykle nie odpowiadali lub bełkotali coś w niezrozumiałym języku. Korn coraz ciemniej widział powrót do Modoc. Zaczął odczuwać że robi się za późno a Cassidy utwierdzał go w tym przekonaniu. Sulik nie był pytany w tej sprawie o zdanie bo pewnie i tak duchy nie powiedziałyby mu nic mądrego.

Późnym wieczorem, głodni i zrezygnowani weszli do małego budynku sąsiadującego z cementarzem. Na budynku wisiał szyld podpisany: "Obiady Mamy". Takie hasło wróżyło i obiecywało bardzo wiele, ale wszyscy troje poważnie zawiedli się słysząc że serwowane są tu obiady ze szczórów. Zamiast więc jeść - jak to określił Cassidy - "takie obłeśne świństwa", postanowili kupić butelkę Booze i zapić nią zmęczenie i melancholię.

Po kilku mocnych, poczuli się lepiej. Wtedy postać, skryta przy stole stojącym samotnie w kącie, zbliżyła się do trójki przyjaciół.

- Czy postawicie jednego bezrobotnemu farmerowi? - zapytał obcy.

- Pewnie! - zawołał Cassidy. - Siadaj z nami.

- Dzięki wielkie. - uradował się nieznajomy.

Obca postać ociężała i z pewnym trudem przysiadła się do ich stołu. Prawą nogę, nieznajomy, miał najwyraźniej zranioną. Gdy usiadł, do zamyślnego Korna dopiero dotarły słowa "bezrobotny" i "farmer".

- Jesteś farmerem? - zapytał raźnie tribal.

- Byłem! - odpowiedział nieznajomy. - do czasu aż ....Ach! Nieważne.

- Wręcz przeciwnie. - powiedział poważnie Korn.

- I tak mi nie uwierzycie. - Ostatnio zaczęliśmy wierzyć w różne niesamowite rzeczy. - oświadczył barman.

- A w duchy wierzycie?

- Duchy nas otaczają przyjacielu. - rzekł kłaniając się Sulik.

- Mnie otoczyły niedawno. - powiedział nieznajomy. - Mieszkałem na farmie koło Modoc i wtedy...

- Czy przypadkiem nie nazywasz się Karl? - zapytał niespodziewanie Korn.

- Tak. - odpowiedział ze zdziwieniem nieznajomy. - Ale skąd jest to wam wiadome.

- Przysłał nas Jo z Modoc - rzekł Cassidy. - Poszukujemy cię już od dawna. Przybyliśmy tu by zabrać cię z powrotem do Modoc.

- Jak to? - zapytał zdziwiony Karl. - Jak to zabrać?

- Karl zrozum. Jeśli nie wrócisz z nami do Modoc to zginie wielu dobrych ludzi.

- Ale ja uciekłem stamtąd by schronić się przed duchami. Nie chcę by znów prześladowały mnie na farmie. A może już są i w Modoc? Tam i tak nikt nie uwierzył mi gdy im powiedziałem dlaczego uciekłem z farmy. Wszyscy się ze mnie śmiali. Nie chcę do tego wracać. Duchy znów będą rozmawiać ze sobą w mojej obecności. Tutaj mnie nie znajdą.

- Karl! - zawołał Korn. - Nie ma żadnych duchów!

- Sulik nie wierzy w to co mówisz. - odezwał się wsłuchany w rozmowę Sulik.

- Chciałem powiedzieć że na Ghost Farm nie ma żadnych duchów. Pod ziemią, pod farmą mieszkają ludzie i ghule a nazywają się Slags. To ich głosy słyszałeś Karl. Wiemy bo z nimi rozmawialiśmy. Ukrywają się tam przed światem ale brakuje im lekarstw. Tymczasem w Modoc zaczyna brakować żywności. Jo chce pozabijać Slags bo uważa że oni cię zamordowali Karl. Musisz z nami wrócić do Modoc. Jo dał nam trzydzieści dni na znalezienie cię, ale minęło już piętnaście z nich. A czternaście straciliśmy na podróż. Musimy wracać czym prędzej.

- Więc mamy kolejne piętnaście na powrót. - powiedział Cassidy. - Dlatego liczy się każdy dzień. Do tego musimy jeszcze uratować z rąk slaverów pewnego handlarza o imieniu Vic.

- Karl. - znów zawołał tribal. - Pójdiesz z nami?

- Pójdę. - odpowiedział farmer. - Ale obawiam się że jest już za późno.

Odsunął się na chwilę od stołu i podwinął nogawkę na prawej nodze. Oczom wszystkich ukazała się skryta pod nią noga zabandażowana pobrudzonym szarym bandażem.

- Zaatakowało mnie stado Geckonów i było by już po mnie gdyby nie traperzy którzy na nie polowali. Miałem szczęście bo oni zwykle nie oddalają się za daleko od Klamath. Tak czy inaczej, nie dam rady przejść na piechotę do Modoc w piętnaście dni. Nie dam rady nawet w trzydzieści.

- Cholera! - zaklął Cassidy. - I co teraz? Nie zdążymy, do jasnej cholery!

- Spokojnie! - uspokoił go Korn. - Właśnie sobie coś przypomniałem.

Wyciągnął z plecaka jakiś przedmiot i położył go na stole. Przedmiot był wykonany z metalu i miał kilka czerwonych diod. - Czym jest ten artefakt? - zapytał Sulik.

- Czy to jest to co zdobyłeś w Gecko od tego jak mu tam... - nie dokończył pytania Cassidy.

- Skeeter. - dokończył za niego Korn. - To on dał mi to za skrzynkę z narzędziami.

- A co to jest? - zapytał zaciekawiony Karl.

- To Fuel Cell Controler, czyli kontroler wtrysku paliwa. - wytłumaczył tribal. - Ale ja nie mam pojęcia jak go zainstalować w tym pojeździe który znajduje się na złomowisku.

- Nie licz na mnie. - zaznaczył barman. - Ja jestem od brudnej roboty.

- Sulik nie wiezieć.

- Czarno widzę nasz powrót do Modoc. - zauważył Korn.

- A może - Cassidy śmiesznie wyglądał gdy myślał. - Ten facet co nadzoruje to złomowisko, umiałby zainstalować to coś.

- Smitty. - tribal przypomniał sobie imię. - Owszem. On wie jak zainstalować kontroler wtrysku, ale niestety kosztuje to dwa tysiące. A my nie mamy nawet pół tysiąca.

- Czekaj! - barman demonstracyjnie uderzył się ręką w czoło. - Ten twój Vic! Mówiłeś że potrafi naprawiać różne urządzenia. Może będzie też wiedział jak zainstalować kontroler wtrysku.

- Wtrysku! - poprawił go Karl.

- Jedno i to samo.

- Masz racje Cassidy. - pochwalił go Korn. - Vic na pewno wie jak to zrobić. Ale ten pojazd i tak będzie kosztował. Jak się dobrze utargujemy, to Smitty obniży cenę do tysiąca.

- Sam mówiłeś że Vica trzymają w zamknięciu slawerzy. Jak ich pozabijamy to sprzedamy ich broń, zbroje i cokolwiek tam będą mieli.

- Sulik widzi przyszłość w tym planie.

- Niech będzie. - zgodził się Korn. - Nie mamy nic do stracenia, po za własnym życiem. Nikt nie zraził się do słów Korna, bo życie w tych czasach nie było wiele warte.

- Więc Sulik uratuje wreszcie swoją siostrę? - zapytał zadowolony Sulik, ściskając w rękach swój młot bojowy.

- Tak jest. Ale Karl zostanie tutaj do naszego powrotu.

- Dobrze. - zgodził się farmer, zadowolony że nie musi brać udziału w żadnej walce.
- W porządku. - Korn wstał od stołu. - Jutro uwolnimy Vica.

Jedną, jeśli nie jedyną, z zalet życia w postnuklearnej Kalifornii były przepiękne poranki. Chyba nigdy wcześniej w żadnym miejscu poranki nie były tak ładne jak tu i teraz. Szczątki budynków i wszechobecny gruz nabierały jakiegoś specjalnego piękna w swej tragicznej brzydocie, gdy wspinające się po bezchmurnym niebie słońce zaczynało oświetlać, nigdy nie zasypiającą, powojenną Kalifornię. Noce bywały zwykle chłodne a dni upalne, więc jedynie rzeźki poranek i zasypiający wieczór balansowały na tej granicy. Każdy kto raz zobaczył taki poranek, zaczynał mieć szacunek do potężnych sił przyrody, które nawet w tak zdegenerowanym świecie, potrafiły stworzyć naturalne piękno. A mieszkańcy wciąż nie otwartych krypt, niech żałują że jeszcze tego nie widzieli.

Przy wejściu do Gildii Slaverów stało już dwóch strażników. Zwykle stało ich tam więcej ale widocznie pozostali jeszcze nie wrócili z nocnej łapanki po okolicach Den.

Cassidy podszedł do jednego z nich.

- Witaj brachu! - zawołał zbliżając się do strażnika.
- Coś ty za jeden? - burknął strażnik. Drugi głośno przeładował broń, by zabrzmiało to jak ostrzeżenie.
- Nikt ważny brachu. - odburknął Cassidy tym samym tonem, jednocześnie wrzucając jakiś przedmiot przez nieoszlone okno budynku Gildi.
- Tak też myślałem - rzekł strażnik sięgając po nuż noszony przy pasie.

Dynamicznie wyciągnął go i machnął nim w kierunku gardła barmana. Cassidy zblokował i wbił mu w gardło jakiś ostry przedmiot. Strażnik wypuścił nóż z ręki i złapał się za ciekącą krwią szyję. Barman wyciągnął i pokazał przedmiot oczom rannego. Padającemu strażnikowi oczy wyszły na wierzch jeszcze bardziej niż przed chwilą, gdy zobaczył że jego zabójca trzyma w ręku stalową zawleczkę granatu.

Drugi strażnik przymierzył się do strzału, gdy nagle padł uderzony w kark stalowym młotem. Jego strzelba z trzaskiem upadła na pozostałości chodnika. Cassidy spojrzał na Sulika dzierżącego młot w ręku i z dumą stojącego nad leżącym strażnikiem.

Granat eksplodował tak głośno, że nawet menele którzy wałęsali się wśród ruin, i do których zwykle nic nie docierało, zwrócili tym razem uwagę na Gildię Slaverów.

Budynek w którym mieściła się gildia, został zbudowany po wojnie, więc wytrzymał wybuch. Korn i Cassidy wpadli do środka pierwsi. Dopiero za nimi wskoczył przez okno Sulik wymachując młotem i krzycząc bojowe okrzyki swego plemienia. W przedsionku znaleźli kilku strasznie poranionych slaverów, wrzeszczących i błagających o śmierć. Po chwili, drzwi

znajdujące się naprzeciw wejścia z hukiem otworzyły się i wypadł z nich wysoki, łysy facet z shotgunem a zaraz za nim tłoczyli się następni.

Cassidy, który był najbliżej, wyciągnął zawleczkę od drugiego granata i zaczepił go o pas łysego.

- Potrzyмай! - zawołał i kopnął go w klatkę piersiową, wrzucając w ten sposób spowrotem do pomieszczenia, a stojących za łysym slaverów razem z nim. Zatrzasnął drzwi.

Budynek wytrzymał kolejny wybuch, ale łysy i jego ekipa z pewnością nie. Sulik wywalił rzwi jednym uderzeniem młota i tym razem to on wpadł do pomieszczenia pierwszy. Na środku spostrzegł łysego, bez jednej nogi i z kikutem prawej ręki. Kompozytowa zbroja uchroniła jego tułów od całkowitego unicestwienia. Mimo to, jego wycie i jęki same mówiły, że wołał nie mieć wtedy tej zbroi. Wołał zginąć szybko. Wrzeszczał jak opętany i wił się ostatkiem sił.

Spod przewróconego łóżka wypełzło dwóch którzy w porę zdążyli się pod nim schować. Sulik podbiegł do jednego z nich i trzasnął go młotem w brzuch z taką siłą że odrzuciło go na drzwi do klatki które bez problemu zmieniły się w drzazgi.

Twarz drugiego ocalonego, rozprysła się po ścianie gdy Korn wywalił w niego serię z Combat Shotguna.

Tymczasem zamknięci w klatce niewolnicy lali wrzuconego do nich strażnika, nie okazując ani krzty litości. I być może słusznie.

Sulik z nadzieją wszedł do klatki by znaleźć siostrę. Chodził i przyglądał się opuszczającym klatkę, uwolnionym już, niewolnikom. Tylko kilku z nich okazało wdzięczność i uścisnęło dłoń swoim wybawcą. Reszta z radości zapomniała dlaczego są wolni. Mijali umierającego łysego, plując i okopując go przy okazji.

Cassidy, który stwierdził że „nie chce być niehumanitarny” zaczął dobijać wszystkich rannych slaverów, twierdząc że i tak nie da się im pomóc. Nikt nie protestował. Barman nie dobił jedynie łysego.

- Gdybyś wybrał inny sposób życia Metzger. - rzekł Korn celując w twarz łysego. - A teraz, tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Jeden strzał dobił przywódcę Gildi Handlarzy Niewolników, nazywaną też Gildią Slaverów. Tak skończyło się niewolnictwo w Den.

Tribal wszedł do klatki i rozglądał się za Viciem. Nie miał pojęcia jak on wygląda ale starsza jego wioski opowiadała o nim jako o grubym człowieku. A w klatce nie było nikogo takiego. Wręcz przeciwnie, niewolnicy byli chudzi i wygłodzeni. W kącie klatki, Korn zauważył Sulika klęczącego przy obejmującej go młodej, pięknej, płaczącej dzikusce.

Ten widok go ucieszył. Zaczął tęsknić za swoją wioską i pozostawioną rodziną i przyjaciółmi. Jednocześnie poczuł dumę. Dumę z tego kim się powoli staje. Był dumny że to jego wybrano na plemieńca który uratuje Arroyo od zguby. A kto wie? Może nie tylko Arroyo.

Pozostawił Sulika i jego siostrę by mogli nacieszyć się swoim spotkaniem. Sam wrócił do przedsiionka, gdzie Cassidy palił skręconego przez siebie papierosa. Trupy w przedsiionku już nie jęczały a broń barmana leżała na stole tuż obok niego.

- Nigdzie nie ma Vica? - zapytał Cassidy.

- Nie. - odpowiedział Korn. - Slags też już nie ma w takim razie.

- Pozostaje nam cieszyć się tym co tu dokonaliśmy. - pocieszył go barman. - Zlikwidowaliśmy otchłań niewolnictwa jaka się tu otworzyła.

- Tak.

Niespodziewanie rozległo się pukanie w jedne z drzwi które znajdowały się w przedsiionku.

- Hej! - zawołał głos zza drzwi. - Jest tam ktoś?

Cassidy pochwycił momentalnie broń, ale Korn ręką wskazał mu że jest to zbędne.

- Kim jesteś?! - zapytał tribal. - Mam na imię Vic. - odpowiedział głos. Oczy Korn zabłyśły.  
- Jestem handlarzem i mechanikiem. Może mnie ktoś uwolnić?

- Poczekaj! - zawołał Cassidy. - Odsuń się od drzwi Vic.

- Zrobione!

Barman bezbłędnie wypalił w zamek. Drzwi otworzyły się z hukiem i trzaskiem a ich kawałki posypały się dookoła. Do pomieszczenia wszedł Korn.

- Czy jesteś Vic z Klamath? - zapytał nieznanego, otyłego faceta stojącego przy ścianie.

- Tak. - odpowiedział z radością Vic. - Tak to ja.

- Szukałem cię wiele czasu. Jestem plemieńcem z Arroyo a na imię mi Korn. Czasami handlowałeś z naszą wioską prawda?

- Tak. Rzeczywiście. Miło mi cię poznać Korn.

Tribal wyciągnął z kieszeni niewielką, cynkową, niebieską manierkę z wybitą na niej, żółtą liczbą trzynaście.

- Poznajesz to? - zapytał.

- Chyba tak. - odpowiedział Vic.

- Sprzedałem wam tą manierkę.

- Właśnie. Ta manierka pochodzi z krypty trzynastej. Czy wiesz gdzie jest ta krypta?
- Niestety nie. Kupiłem tą manierkę od Eda, mojego przyjaciela z Vault City. Mogę cię do niego zaprowadzić.
- Może później. Ale twoja pomoc przyda się nam.
- Z radością przyłączę się do ciebie. Szefie! Jestem już stary, ale jak trzeba to potrafię przyłożyć z gun'a a naprawianie urządzeń, i targowanie, też nie jest mi obce.
- O nie! - zawołał Cassidy. - I znowu wybieramy się do Vault City!
- To mój przyjaciel, Cassidy! - przedstawił barmana Korn. - Podróżuje ze mną od pewnego czasu.

Tribal spojrzął na nadchodzącego Sulika i idącą z nim dzikuskę.

- A Sulika już znasz.
- Sulik! - zawołał Vic cofając się. - Nie patrz tak na mnie! To nie moja wina.
- Sulik ci wybacza! - rzekł Sulik świdrując wzrokiem przestraszonego Vica.
- O! To świetnie Sulik! Naprawdę! - Vic podał rękę dzikusowi, a ten uściśnił ją tak silnie że handlarz zawył.
- Ale kara musi być. - uśmiechnął się Sulik. Wszyscy zaczęli się śmiać.

Nie mieli wiele czasu, więc pozbiali broń i zbroje martwych slaverów i sprzedali je u Flicka, miejscowego handlarza bronią. Za pieniądze kupili samochód i uzbroili go w kontroler wtrysku, który zamontował z radością Vic. Jak sam mówił, lubi bawić się różnymi urządzeniami.

Pomogli Karlowi wejść do pojazdu. Chcieli jeszcze tylko pożegnać się z Sulikiem, który postanowił najpierw odprowadzić swoją siostrę z powrotem do swojej wioski.

- Powodzenia na pustyni Sulik. - powiedział Korn. - Nie musisz wracać do nas jeśli nie chcesz. Nie jesteś nikomu nic winien.
- Ale Sulik lubi twoje towarzystwo. - odpowiedział dzikus. - Odprowadzę siostrę i wrócę do was. Nie wiem tylko gdzie szukać.
- Jedź na południe Sulik. Tam nas znajdziesz. A duchy niech cię prowadzą.
- One zawsze pomagają Sulikowi.
- Trzymaj się. - pożegnał się Cassidy. Im dłużej przebywał w towarzystwie tribalów, tym bardziej ich lubił.

- To do zobaczenia. - Vic także nie chciał uchybić ceremonii pożegnania.
- Sulik żegna swoich przyjaciół.

Cassidy sprawdził czy ma wciąż zawleczeni od granatów. Nie chciał zawieść Vegeira.

A jeśli chodzi o prowadzenie pojazdu, to argumentem barmana by usiąść za kierownicą pojazdu było stwierdzenie że od dziecka marzył by pojeździć czymś takim. Vic znał się na naprawie takich pojazdów ale nie miał pojęcia jak je obsługiwać, dlatego nikt nie miał nic przeciwko temu by to właśnie Cassidy był kierowcą. Oczywiście barman także nie miał pojęcia jak prowadzi się samochód, ale stwierdził że to nie może być trudniejsze niż jazda na brahminie. I Chyba nie mylił się bo po kilku godzinach byli już daleko od Den.

Przejazd samochodem przez góry Sierra Nevada, nie należał do łatwych czynności, ale przynajmniej napotkanie raidersów czy przeróżnych pustynnych potworów nie stanowiło ewentualnej przeszkody. Pojazd bez wysiłku potrafił się wspinać na całkiem strome wzniesienia i szybko wszyscy zrozumieli że był w doskonałym stanie jak na czasy które udało mu się przeżyć. Ułatwieniem w podróży stały się też pozostałości po dawnej komunikacji, czyli liczne szosy które w niektórych miejscach były w naprawdę dobrym, przejezdnym stanie na długich odcinkach.

Noce spędzali w samochodzie, słusznie uważając że jest to w bezpieczniejsze niż spanie na gołej ziemi, gdzie zawsze mogło podpełznąć coś czego by się nie spodziewali. Raz nawet jechali w nocy, bo przecież ich samochód - Highwayman - miał dość silne światła. Były one konieczne gdy nie było pełni księżyca, bo w przeciwnym razie nie widzieliby kompletnie niczego. Niestety ich używanie zużywało sporo energii a pojazd w całości działał na prąd, nie pomijając napędu. Vic zdecydował że ze względów oszczędnościowych lepiej nie jeździć nocą.

Byli teraz pewni że uda im się zażegnać walkę między Modoc a Ghost Farm. Mieli ze sobą Karla i w ciągu trzech dni przebyli już prawie całą drogę. Dlatego bardzo zdziwili się gdy znaleźli się z powrotem w Modoc.

Jo chwycił jedną ręką strzelbę noszoną w popularnej obecnie kaburze na plecach. Nie wyciągnął jednak broni. Strażnicy Modoc którzy zdecydowali się pójść za Jo do Ghost Farm, także chwycili rękami za swoje gun'y.

- Cieszę się z powrotu Karla. - powiedział poważnie Jo, sadzając Karla na krześle, obok siebie. - Ale przybyliście za późno.

- Jak to za puźno, Jo? - zapytał zdenerwowany Cassidy. - Przecież minęło ponad dwadzieścia dni. Zdążyliśmy.

- Plany się zmieniły. - wycedził sucho przywódca Modoc. - Żywność już się prawie skończyła. Podałem wam złe przewidywania.

- Skoro się zmieniła - zauważył Korn. - to najwyższy czas podjąć handel z Ghost Farm. Taka była umowa. Znaleźliśmy Karla i sam poświadczył ci że nikt nie zrobił mu krzywdy na farmie. Jedynie najadł się strachu.

- Nie będziemy handlować ze złodziejami. Ta farma należy do nas i...

- Mylisz się. - twardo przerwał tribal. - Slags byli tam przed wami. Gdy Karl przybył na farmę, oni już tam mieszkali. A ty, gdy tylko dowiedziałeś się że w podziemiach Ghost Farm żyją ludzie a nie duchy, zaplanowałeś wymordować ich wszystkich by tylko zdobyć żywność dla Modoc. Ale oni są lepsi od ciebie. Oni chcieli wymienić medykamenty których potrzebują, w zamian za żywność której potrzebujecie wy.

- Zapominasz się chłopcze. Chyba nie rozumiesz że w tych czasach nie ma miejsca dla słabych. Słabych wykańczają silni by samemu móc przeżyć. Kto martwi się o innych ten długo nie pożyje, bo za innych wyłapie kulkę. Teraz to i tak nie ważne. Zaraz wyruszamy by powybić ich wszystkich i w ten sposób zapewnić sobie byt.

- Nie pozwolę na to. - wtrącił Cassidy.

- Nie musisz. - syknął Jo wyszarpując broń z kabury na plecach.

Karl mimo urazu, zerwał się z krzesła i własnym ciężarem przewrócił Jo na ziemię. Jeden ze strażników wycelował broń w Korna, ale z pomocą wpadł Cassidy. Nogą kopnął broń strażnika i kolbą własnej uderzył go w twarz. Strażnik runął na ziemię a za nim broń drugiego, odstrzelona mu z rąk przez Korna. Pozostali strażnicy rzucili broń.

Jo leżał na podłodze, przygnieciony przez Karla. Jego broń leżała obok niego.

- Jo! - zawołał jeden ze strażników - Oni chyba mają rację.

- Właśnie! - zawołał drugi. - Dajmy Slags leki a oni dadzą nam żywność.

- Nigdy!!! - wrzasnął czerwony ze wściekłości Jo. - To nasza farma!!!

Nagle oczy wszystkich skierowały się na drzwi wejściowe, bo stanęła w nich postać o blond włosach, w skórzanej, czarnej kurtce i czarnych jeansach.

- Vegeir! - ucieszył się Korn. - Miło że wpadłeś.

Przywódca Slags nie zareagował ani słowem. Wyszedł spokojnie na środek pomieszczenia, dźwigając na plecach jakiś spory, płócienny worek. Oczy wszystkich skierowały się na niego w ciszy. Vegeir zdjął worek z pleców i rzucił go na podłogę. Płótno

rozłożyło się i posypały się z niego jakieś grzyby które Korn widział pierwszy raz w życiu. Strażnicy osłupieli. Jo także.

- Chcę tylko lekarstw dla moich ludzi. - rzekł błagalnym tonem Vegeir. - My w podziemiach hodujemy żywność. Te grzyby nas karmią.

- Ten tribal ma naprawdę rację Jo. - przyznał kolejny strażnik.

- Tak jest. - powiedział następny. - Po co mamy ich zabijać?

- Bo ta farma jest nasza!!! - wrzasnął rozwścieczony Jo.

- Możecie swobodnie mieszkać na farmie - rzekł Vegeir. - ale zostawcie nas i nasze podziemia w spokoju.

- Ja z tobą nie idę Jo. - rzekł znów jeden ze strażników.

- No Jo! - zawołał Korn. - Nie pozwól emocjom zwyciężyć nad twoją dumą.

Nastała długa cisza, w czasie której Vegeir spoglądał w oczy wszystkich zgromadzonych. Na koniec spojrzął się surowo w oczy Jo, z których nagle zniknęła złość a pojawiła się pokora. Taka sama jaka pojawia się w oczach psa, gdy zwierze zrozumie że zawiodło swojego pana. I choć Vegeir i Jo nigdy się przedtem nie znali, wyglądało to jakby nie raz mieli ze sobą do czynienia. Korn uśmiechnął się czując że nadchodzi rozwiązanie problemu. Nawet strażnicy zaczęli pojednawczo szeptać i kiwać głowami na zgodę.

- Zgoda. - rzekł Jo wstając i zrzucając z siebie uśmiechniętego Karla. -Niech będzie! Wy pokrzywieni kalecy!!

W całym pomieszczeniu rozbrzmiała radość.

- Proszę - Korn podał Vegeirowi Combat Shotguna którego od niego otrzymał. - Zwracam go zgodnie z umową. Świetnie mi służyły.

- Jest twój. - rzekł przywódca Slags, delikatnie odtrącając broń od siebie - Teraz gdy tyle dla nas zrobiliście, nie mogę ci go nie oddać. Zresztą nie będzie mi już potrzebny.

- O nie. - zaprzeczył tribal. - Nie mogę go od ciebie przyjąć Vegeir.

- Powiedziałem ci że jest twój. Lepiej powiedz czego dowiedziałeś się o GECK i Krypcie 13?

- Cóż. Właściwie to niczego.

- Jak to? - zdziwił się Vegeir.

- Jo przyznał mi się, że tak naprawdę od samego początku niczego nie wiedział o GECK i Krypcie 13. Tłumaczył się że byli zdesperowani więc musiał skłamać że ma ważne informacje, które mogłyby mi się przydać. W zamian za informacje miałem wykonać dla niego rekonesans Ghost Farm. No i go wykonałem, wtedy gdy trafiliśmy do was po raz pierwszy.

- Pewnie jesteś wściekły.
- W zasadzie nie. Trudno. Przynajmniej mogłem komuś w czymś pomóc. A kłamstwo Jo, wybaczam. Widzę że znalezienie Krypty 13 nie jest takie proste jak mi się zdawało.
- A teraz dokąd chcesz jechać?
- Z powrotem do Vault City.
- Tego się właśnie obawiałem. - wtrącił Cassidy.
- Mój przyjaciel Vic - kontynuował Korn. - Dał mi pewną wskazówkę w związku z tym miastem.
- Oby była ci pomocna..
- Hej Vegeir - Cassidy przypomniał sobie o zawleczkach od granatów. - Mam tu zawleczki od granatów które mi dałeś. Wiedz że dzięki nim, w Den nie istnieje już niewolnictwo.
- To wspinała wieść. W tych czasach świat potrzebuje więcej takich ludzi jak wy. Więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Daj mi te zawleczki. Powieszę je na ścianie w widocznym miejscu naszych podziemi. Może kiedyś, gdy świat z powrotem pozbiera się do kupy, ludzie będą odwiedzać nasze podziemia. Wtedy gdy spojrzą na te dwie metalowe zawleczki, dowiedzą się że przysłużyły się dla ich cywilizacji.
- W takim razie do zobaczenia Vegeir. - pożegnał się tribal.
- Do zobaczenia przyjaciele. Oby w lepszych czasach.